

## "Fajowa" przygoda - czyli plon wspólnego pisania (cz. 1/3) — GregoryJ

**Od autora:** Mam przyjemność przedstawić rezultat wspólnego pisania:

<http://www.portal-pisarski.pl/forum/temat/3364/projekt-na-koniec-wakacji-i-nie-tylko>

Udział wzięli: retro (dawczyni pomysłu), spawngamer, JOLA S., GregoryJ

---

Nieśpieszno mu było powitać świat. Otoczony wodami płodowymi czuł się bezpiecznie i komfortowo. Usilnie chłonał ostatnie momenty przed narodzinami, jakby przeczuwając, że w przyszłości będzie miał awersję do wody. Życie – jak przystało na dobroczyńcę, ale i dowcipnisia – przygotowało mu niespodziankę w postaci fal morskich, które jako pierwsze naznaczyły pomarszczone ciałko niemowlęcia. Słona woda, zmiana temperatury, tlen i nawoływania matki, aby ojciec odciął pępowinę oszołomiły maleństwo. Ojciec uczynił wedle głośnych i nachalnych próśb połowicy, a dla uczczenia okoliczności narodzin, dziecku nadano imię Falisław.

Miejscowi wołali na niego – Fali, a spośród nich nieliczni tylko... Sławcio.

Przyszedł na świat, jako pierwszy, ale i ostatni syn w rodzie. Od kiedy sięgał pamięcią doskwierała mu samotność, a brak towarzyszy do zabawy rekompensował sobie niebywałą wyobraźnią, którą spożytkowywał rzeźbiąc w drewnie, a gdy nabrał wprawy to i w kamieniu.

Ojciec, jako człek roszczeniowy i wygodny, bo brakowało rąk do pracy, wielokrotnie powtarzał, że z jedyńką - ni pies, ni sabaka, że trzeba się postarać o więcej. Chciał mieć jeszcze co najmniej czterech; szerokich w ramionach – po kądzieli i z pomyślunkiem – po mieczu.

Ale los inny napisał scenariusz. Matka opuściła ich wczesną jesienią, wraz z cyrkiem wędrownym, a ojciec od tego wydarzenia zamknął się w sobie. Wieczory przesiadywał w drewnutni, zawodząc:

„Linokoczek! Cyriak linokoczek... a niech lina pęknie! Jeszcze ona do mnie wróci! Wróci i da mi rośłych synów! Wróci na kolanach!”

Nie wróciła, pozostawiając niedomyte żeliwne garnki i kwilące niemowlę.

Chłopak rósł jak na drożdżach. Ojciec, parający się rybołówstwem, zniknął na całe dni, pozostawiając chłopca pod opieką Babki Jadźki.

Wczesna edukacja u wioskowej znachorki, którą to była wyżej wspomniana, sprawiła, że Faluś posiadał umiejętność samouzdrawiania i żadne choroby się go nie imaly. Z tej prostej przyczyny, jako jedyny wyszedł cało z epidemii, która zdziesiątkowała statek płynący do Szwecji.

A nie znalazł się na morzu z woli własnej, lecz decyzji ogółu. Aby tradycji stało się zadość został podany inicjacji mającej dowieść, że jest już mężczyzną. Każdy młody chłopak w wiosce stanął przed zadaniem zdobycia zapasów żywności na nadchodzącą srogą zimę. Jemu przypadło w udziale zaopatrzenie mieszkańców w kiszony śledzie. Z wyprawy tej powrócił w beczce po jakimś trunku i od tej pory miał lęk przed wodą i napojami wysokowymi. Wkrótce miejscowi zaczęli wytykać go palcami, jako suchomordę, niespełniającą kryteriów przynależności grupowej, z dożywotnim zakazem zbliżania się do okolicznych dziewcząt. Wtedy Babka Jadźka, pokochawszy Falisława jak swego jedyne wnuka (którego oddała za

paczkę machorki), dała mu coś, czego dotąd nikomu nie ofiarowała.

– Fali... – wyszeptała wieczorową porą, konfidencjonalnie przybliżając do jego ucha zwilżone starczą śliną, pomarszczone usta i położyła mu na ramieniu przywiedłą od starości dłoń. – Musisz wreszcie stać się mężczyzną... – Na jej twarz, przypominającą lepszą wersję ropuchy, wypełził lubieżny uśmiech. – Mam coś, co otworzy przed tobą bramy dorosłości...

Falisław zamarł niczym mucha w obliczu zbliżającego się pająka. Przez głowę przebiegało tysiące myśli i tylko wyraz oczu świadczył, że od przerażenia (Jezusicku! Myślałem o Jadźce od Janeczków. Te jej jędrne pośladki...) powoli przechodził do zubożenia (...ale w sumie, czy to ważne z kim? Ciemnowo przecież...), więc drgnął, przemówiwszy rezolutnie:

– Yyy, no żem się nie spodziewał takowego wprowadzenia w arkana, ale... – uśmiechnął się wymuszenie, starając się nie zerkać na Jadźkę. – Skoro taka wola niebios... – Przymknął oczy i w gotowości na pocałunek otworzył usta niczym ryba łapiąca powietrze. Jakież było zaskoczenie, gdy poczuł na języku jakiś drewniany, pachnący zacie przedmiot.

– Każda machorka musi mieć swe krzesiwo! – Podała mu kiesę. – I piec, w którym się pali. – Wskazała ruchem głowy na wystający z jego ust kształt.

Fali wyciągnął go, nieco skonfundowany. Była to fajka zrobiona z wrzośca, z pękatą główką, cienkim cybuchem i ustnikiem. Miała w sobie coś magicznego i eterycznego zarazem.

– Trzy razy... – rzekła babka. – Trzy razy żem mu się oddała na sianie, zanim mnie Walusia zmajsztrował. Taaaa... – Rozmarzone oczy Babki Jadźki wpatrzone były w dal, gdy nagle się ocknęła i użyła szeptu: – Trzy razy zaciągać się chłopakowi trzeba, a poleci niczym niedościgła mewa. Zasmakuje tajemnic wszelkich, takich i owakich, lecz złęknać się nie może, bo pochłonie go morze i będzie po honorze. Ta lekcycja niech go rozumu nauczy, a zgaga już mu nie dokuczy.

Klepnęła go mocno w pośladki, jako zapieczętowanie wydarzeń, które miały miejsce.

– Babko Jadźko, ale ja... Mnie stoi.

Tak szczerze to było wyznanie, że wielką litość w babce wzbudziło.

– Kochanieńki, masz tu jeszcze kamień filozoficzny. Tylko bądź rozważny i nie puść w niwecz jego mocy! Wiedz, że napotkasz na swej drodze mnóstwo kobiet, które tylko czyhają na twe prawicostwo, prawictwo, prawicowactwo... na twego ptasiulka. To się nie daj! Twardy bądź i nieuległy. Nie pchaj się... Pamiętaj! Pamiętaj... – głos starowinki zanikał, tak jak i ona znikła we mgle. – I pamiętaj... trzy razy... – Przed nosem Falego pokiwał po trzykroć sękaty palec i jak się pojawił, tak nagle czmychnął w wilgotne opary nocy.

Oniemiały młodzian wytrzeszczył oczy, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje. Zafrasowany, z nietęgą miną, ścisnął zawiniątko i przygryzł fajkę. Wolną dłonią podrapał się po czuprynie, myśląc rezolutnie: „I co dalej?”.

– Ku przygodzie, idioto! – wrzasnął, upuściwszy z wrażenia suweniry. Szeptucha raz jeszcze wykrzyknęła coś z wyrzutem, nim ostatecznie rozpląnęła się we mgle.

Po omacku odszukał podarunki, chociaż jak twierdził szanowany kronikarz Wyssał z Palca - pierwaj do ust wsadził kępkę obsikanej przez zające trawy, która swym zapachem przypominała mu odór z fajki, ale jak wiadomo, ów dziejopisarz uprzedzony był do wyczynów Falisława, mających zmienić nie tylko oblicze jego wioski, ale i okolicznych nasadzeń.

Nie pożegnawszy się nawet z ojcem, wiedziony pokusą przygody – dmuchnął w fajkę.

Oczom jego ukazał się sad pełen dorodnych owoców, pod których ciężarem uginały się gałęzie. Bezchmurne, lazurowe niebo. Rajskie ptaki pyszniące się wielobarwnymi piórami. Półnagie boginki.

– Kraina dostatku... – wyszeptał.

Zauroczony widokami nie spostrzegł, że wdepnął w sadzawkę miodu, która wciągała ofiarę niczym ruchome piaski. Szamotanie tylko pogarszało sprawę.

– Wiśta wiooooo!

Ujrzał niewiastę nieziemskiej urody, co wierzchem na pegazie jechała. Przetarł lepkimi dłońmi oczy, lecz widok nie uległ zmianie.

– Łap! - Rzuciła mu bat, którego kurczowo się chwycił i dała ostrogami w boki latającego wierzchowca.

– Że też ci nowi zawsze muszą wleźć w to bajoro – mamrotała pod nosem.

– Pani, wdzięcznym tobie dozgonnie.

– Jak będziesz tak stał nieruchomo, to krótka będzie twa wdzięczność. – Uśmiechnęła się sarkastycznie, ukazując fortepian bielutkich zębów.

W ich kierunku toczył się z niebywałą prędkością ogromny głaz.

– Syzyfku, zabaweczka znowu tobie umknęła! – Śmiejąc się głośno dziewczyna zeskoczyła z siodła i zapierając się nogami zatrzymała sunący na nich gargantuiczny kamień.

A głaz ów nieliczej był postury, długi na dziesięć łokci i gruby niczym brzuch szynkarza Macieja. Nabrzmiały jej mięśnie, ledwo przykryte zwiewną, jedwabną tkaniną, prawie rozrywaną przez jędrne piersi i zgrabny zadek. Nie dziwota więc, że Fali skonstatował, iż znowu mu... stoi!

– Ale ma faję! – zauważył z podziwem Syzyf, który zdążył zbiec z góry za swoim ukochanym kamlotem.

– Aliści, olbrzymia! – stwierdziła panna, patrząc (ze zgrozą wymieszaną z radością) na jego wypchane portki.

– Dyta! Przeca ja nie o tym! – Syzyf spojrział na nią kąśliwie, wskazując na dar od Jadźki.

Zmieszana lekko dziewoja uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła prawicę ku Falisławowi, jakby chciała sprawić, by szybko zapomniał jej gafę.

– Afrodyta jestem. Ostatnio Dyta bardziej, bo mi się afro na głowie znudziło...

– Mówcie mi Fali. Lecz geneza imienia mego nie od fallusa, a od fal przyływu, bo z takim impetem zawitałem w rodzie. – Młodzieńcowi jednak niezbyt się kleiła gadka. Speszenie jego zupełnie zrozumiałym zdawało się w obliczu osaczenia przez cud-miód dziewoję i Syzyfa ledwie widocznego spod zwałów mięśni.

Raptem, załazek luźnej pogadanki zdeptany został kwileniem z krzaków. Stanęli więc na równe nogi, by ruszyć popiskiwaniom z odsieczą. Fali snuł się po tyłach opóźniany miodowymi glutami na buciorach.

– Tam! Na pieńku! – Dyta dokonała odkrycia, mierząc równocześnie palcem w rozklejonego berbecia.

– Przeca to mały Zbynio od Oborniczaków! – wykrzyknął Syzyf. – Czego się mażesz, nicponiu?

– A, bo matula powiedzieli, że tatko nie żyją, buuu... i to od starości, buuu...

– Och! Boże drogi! Biedne dziecko! – przejęła się Dyta. - Ale tatko nie był jeszcze stary, ile mógł mieć lat?

– Za miesiąc miałby trzy, buuu... Jak na chomika to hiper-stary.

– Chomika? Mówiłeś, że tatko... – okazał zdumienie Syzyf.

– Bo dał początek całej mojej gromadce.

I tu wskazał ruchem głowy na wiklinowy koszyk, zakryty jedwabną chustą, ruszającą się co chwila niczym sztormowe pływy na morzu.

Wiedziony ciekawością Falisław uniósł poły chuściny i odskoczył z krzykiem.

Wewnątrz kobiałki ujrzał stwory w różnych odcieniach brązu, czerni i bieli. Każdy o tułowiu chomika, gęsto krytym futrem. W obrębie szyi sierść płynnie przechodziła w gadzią łuskę, a całość uwieńczona głową... smoka. Istoty posykiwały i rozpychały się w ciągłym rejwachu.

– A cóż to za dziw?! – Falisław wyrzucił z siebie ze zgrozą.

Zbity z tropu Syzyf podrapał się po głowie i zapytał niejako sam siebie:

– Chomik ze... smoczyką?!

Dyda stała nieruchoma i wyraźnie zdruzgotana.

– Kie... kiedy się urodziły? – spytała przerażona.

Chłopak wrzuszył ramionami, zdziwiony ich zainteresowaniem.

– No, dwa tygodnie będą w piątek – odparł.

– A kiedy zmarł ich ojciec? – Dyta, wyraźnie wzburzona, chwyciła go za ramię i przyciągnęła ku sobie.

– Nooo, dzisiaj, rankiem...

– Wyrocznia! - jęknęła, zakrywszy twarz rękoma.

Falisław i Syzyf spojrzeli po sobie z konsternacją, wzruszyli ramionami i puknęli się dwukrotnie w czoła.

– Idioci, nie zwariowałam! To wyrocznia. Ty, Syzyfie, żeś tylko człek, choć u nas biesiadowałeś i tajemnice niektóre znasz, ale tej nie, a ten tu – głową wskazała na Falisława – z innych światów pochodzi... Smok z chomika zrodzony, w Bogów wbije swe szpony, z Olimpu usunie, na ludzi też runie, rządy swe wprowadzi, jeno... – W egzaltacji wystrzeliwała ramionami w górę i w dół, kręciła swym siedzeniem, lecz nagle straciła ekspresję, jakby ktoś zabrał jej tchnienie i zmienił w kamień. Po chwili obróciła się do Falisława i wyszeptła – ...fajka „z nikąd bądź” jej zaradzi...

– A, co za problem? Przeca można je ubić w kołysce, skoro takie niebezpieczne – wtrącił spokojnie Syzyf. Podszedł do wiklinowego koszyka i gdy tylko zamachnął się kamieniem, aby dokonać ostatecznego rozwiązania problemu, chomiko-smoki zionęły ogniem pozbawiając jego klatkę piersiową wszelakiego włosia. – Ajjajajjaaajjaaaj! – zawodząc w niebogłosoysy wskoczył do miodowej sadzawki, stając się pionierem metroseksualizmu.

– To może... ja? – zagaił Fali z pewną dozą nieśmiałości.

– Tak, tak! Ty spróbuj! – zachęcała Dyta.

Chłopak niepewnym krokiem podszedł do kołyski, wyjął jeden z podarków od babki i wydeklamował:

– Sztuka palenia tytoniu jest znana nie od dziś. Najlepiej opanowała ją Babka Jadźka, a zaraz po niej mój tatunio, którego opuściłem nie pożegnawszy się nawet... – Odwrócił głowę, lustrując widnokrąg za sobą, jakby w poszukiwaniu ojca, albo tylko dlatego, że chciał uciec wzrokiem przed nurtującym go zwątpieniem w meritum ludzkiego losu. – Zapewne wypatruje mego powrotu – kontynuował - i lamentuje, zawodząc: *Gdzieżeś, mój synu!?* *Ach, gdzieżeś, bo tęsknica mnie dopada i tak mnie matyjaśnie bez ciebie.* Może nawet płacze? Nigdy nie widziałem jego łez, bo większej hańby niż męskie łzy nie ma... Tak mawiał nasz pradziad z pradziada, toteż tatunio zawsze drwa szedł rąbać, gdy go smutek nachodził, a żal zeszkliwił błękit tęczówki. Zima nam niestraszną była, a buchający ogień spraszał coraz to dalszych sąsiadów. Któregoś wieczora, Babcia Jadziunia, przy blasku jarzących się polan, pokazała mi jak powinno się fajkę palić, aby poznać prawdziwy aromat i smak tytoniu. Najważniejsze jest to, aby fajka pasowała do palacza. Ta moja – tu uniósł wysoko prawicę, w której dzierżył falisty, drewniany przedmiot – jest podarunkiem najlepszym, jaki mogłem otrzymać. Ale do dobrej fajki musi być też przednia machorka, bo bez tego nici z palenia. Winna być wysuszona odpowiednio, pachnąca i sprężysta, niczym tyłeczek Jadźki od Janeczków... tej... co... gdy się pochylała...

– Yhyym, yhhhhh! – Dytę złapał nagły atak kaszlu.

– Angielskie i amerykańskie najzacniejsze są pod tym względem, albo te od Babki Jadźki – kontynuując, Fali pogrzebał w kieszeni i wyciągnął mały zwitek. - A gdy już i fajka, i tytoń – uszczęśliwiony uniósł do góry jedno i drugie - wówczas palenisko do połowy wypełnić trzeba machorką i lekko ubijać. Potem dopełniamy fajkę i dalej ubijamy, wkładając w to więcej siły. Dosypujemy nikocjany po sam szczyt i znowu ubijamy, ale z pomyslnkiem, aby powietrze jak trzeba przepływało, inaczej rurka się zatka i nie zapalimy. Teraz jest idealnie! – Uderzył krzesiwem o krzemień, chwytając fajkę umykające iskry.

Zaciągnął się powoli i wydmuchał dym w stronę koszyka ze zmutowanymi berbeciami.

Mglisty wyziew spowił oseski, nie budząc w nich nawet strachu, bowiem dym i ogień z natury rzeczy stanowią integralną część ich fizjologii. Przeciwnie wręcz; można rzec, iż jęły łączywie smakować lotnego intruza, usiłując go zbadać, zinwigilować. Wkrótce sytuacja poczęła być rywalizacją o głębszy haust, jakby próbowały osiągnąć niewidzialnej wisienki na niewidzialnym torcie, po czym wiedzione jakimś odurzeniowym transem, ich oblicza zdecydowały się przybierać groteskowe pozy, ekskluzywne grymasy, ni to półuśmiechy, ni zajęcze wargi. Kończąc występ, jakby dla wymuszenia bisu, omiotły widownię maślanymi ślepiami, rozpalonymi narkotycznym obłędem. Oczom zgromadzonych ukazał się widok trzech słodkich główek, wtulonych bratersko i zespołowo zmorzonych snem. Ostatni ich gest można przyrównać do materaca bezpardonowo pozbawionego powietrza.

Niemal wszyscy przyglądali się ze zdumieniem i przejęciem, wyłączając Syzyfka, który naprzemiennie; to ziewał, to gładził dłonią swój przyrodni kamień i świeżo wydepilowaną klatę. Kiedy już wszystkie smoki o chomiczym nadzieniu potwierdziły sen chrapaniem, zdecydowano się podejść na odległość rażenia maczugą.

– Ale słodziaczki! – zachwyciła się Dyta.

– Weź przestań! Mało nie uczyniły mnie przystawką z grilla – storpedował pomysł Syzyf.

– Co to takiego może być? – Fali wpadł w detektywistyczny nastrój na widok fragmentu przedmiotu wystającego spod ogniotrwałego prześcieradła.

– Pewnie gaśnica – prychnął cynicznie Syzyf, strząsając resztki spopielonych włosów z torsu.

– Oj, nie. Nic z tych rzeczy. – Po odgrzebaniu wyściółki, w ręku Falego pozostał pergaminowy zwój, który po rozprostowaniu ujawnił tajemniczą treść:

„Uwaga!

*Niniejsza krótka wiadomość tekstowa została automatycznie i nieświadomie wygenerowana przez wyrocznię, więc proszę darować sobie odpisywanie. Oświadcza się, co następuje:*

*Właśnie zostałeś(łaś) szczęśliwym(wą) posiadaczem(czką) brygady trojga międzybytowych hybryd, będących na ostatnim etapie testów klinicznych. Wabią się od największego: Pan, Do, Ra. Wspomóż rodzimą przedsiębiorczość, a zyskasz możliwość pokonania gnuśnych i zarozumiałych bóstw, pomnij jeno; jeśli wychowa je serce twarde i nikczemne, los świata wątpliwym się stanie.*

*Do eksperymentu potrzebowali będziemy:*

- 1. Dorastającego młodziana, dobrze władającego fajką*
- 2. Niewiastę zaopatrzoną w punkt pierwszy*
- 3. Kamień filozoficzny*
- 4. Idiotę z obsesyjnym parciem na toczenie głązów*
- 5. Dobre chęci*

*Powodzenia, zaczynam się powoli pakować*

*Wasza WYROCNIA*”

– I co o tym myślicie?

– Ja tam swoje wiem – wtrącił Syzyf. – Kolejne pijackie brednie, kolejnej samozwańczej wyrocni.

– A ja, z mą kobiecą intuicją, mówimy wspólnie w zespół: Towarzysze! Los zebrał nas tu i teraz, by zdecydować o przyszłości naszej i owych śpiących stworów. Stanęliśmy w obliczu dziejowego dylematu. – Dyta, wskazując na śpiące dziwolągi zadała decydujące pytania. – Utulić? Ukatrupić? A może... rozejść się, jak gdyby nigdy nic?

– Stać! – Gdzieś z góry dosłyszeli ochrypy, ale mocny głos męski. – Odsunąć się od koszyka!

Wszyscy obecni, oprócz uśpionych mutanciatek, ujrzeli najznamienitszych ze znamienitych. Zeus spływał na chmurze z niewzruszonym, ogromnym orłem na ramieniu, który rozłożeniem skrzydeł wskazywał na gotowość do lotu. Posejdon wynurzał się z pobliskiej studni, ale najpierw pojawił się jego trójzęb wymierzony prosto w obecnych. A gdzieś z tyłu, lecz równie walecznie, szedł Hades, co raz przyciągając do siebie i potajemnie głaszcząc śliniącego się Cerbera.

– Mnie! Jako jedynemu prawowitemu władcy należy się wszystko, co na tej górze, w tej chmurze! Czyli prawo pierwszej nocy tak z nią, jak i z nim, a także to, co po tej nocy się zrodzić może – rzekł ochryple Zeus.

– Nie braciszku – wtrącił Posejdon – jako, że te oto stworzenia mają zadatki na... potwory morskie, to mnie służyć powinny! Ooo, skrzela już im wyrastają. Widzę!

– O nie! – zaprotestował zarliwie Hades. – To, co nieludzkiej urody, do podziemi stracone być powinno i mnie służyć. Cerberek taki samotny, gdy za Korą się uganiam... – dodał ciszej, drapiąc psisko za uszami.

Bracia rozsmakowali się w familijnym sporze. Raz po raz popierali swe prawo własności nowymi argumentami, mającymi przemówić na korzyść tego, który aktualnie przemawiał. Doszło nawet do przepychanek, wyciągania zaprzeszłych żalów, przeproszenia, płaczu, manipulacji. W żaden jednak sposób nie potrafili ustalić, kto stanie się szczęśliwym posiadaczem maleńkich hybryd, których pojawienie się przewidziała Wyrocnia. Zapewne trwałyby to znacznie dłużej, gdyby nie rezolucyjność białogłowy:

– Moje ci one! – Dyta zarzuciła na koszyk z potworkami kawałek zwiewnej tkaniny, który w ferworze uaktywnionego instynktu macierzyńskiego oderwała ze swojego i tak już kusego odzienia. - Fjuuuuuuu! – zagwizdała i z miejsca pojawił się pegaz. Szarpnęła maleństwa i Sławka z tymi jego wytrzeszczonymi gałkami. - Syzyf! Wskakuj! – ponagliła, sadowiąc się na latającym wierzchołku. Smocze pomioty zaczęły w instynkcie obronnym czekać żywym ogniem, a Fali jakby na to czekając odpalił magiczną moc fajki

Syzyf nadal nie mógł rozstać się z kamieniem i stał jak wryty.

– Skacz!

Wskoczył. Fali się zaciągnął, aż iskry poszły i cała siódemka (pegaz to też uczestnik wyprawy) trafiła w zupełnie nowe miejsce. Miejsce, w którym nie dosięgły ich złorzeczenia, groźby, pioruny, przekleństwa i wszystko inne, co mogą w złości czynić boscy bracia. Znajdowali się w przestronnym zamczysku, zatkniętym niczym grot włóczni na wielkiej skale. Straszny ryk drażnił uszy, jakby w dole szalał bezkresny

ocean. Fali miał wrażenie, że krew zastyga mu w żyłach, serce uderza coraz mocniej, a niepokój przeszkadza oddychać. Stali w komplecie na wielkim, pustym, kamiennym dziedzińcu.

– Wielkie nieba, to nieprawdopodobne! – wykrzyknął Fali, ogarnięty strachem.

Po dłuższej chwili zaczęli uważnie się rozglądać.

Coś w duszy chłopca gadało: „Nie troskaj się”.

Fali zaufał intuicji. Dotąd go nie zawodziła. Przekręcił zardzewiały klucz w zamku, pchnął z całych sił ogromne wrota. Weszli. Ogarnęły ich egipskie ciemności.

– Co robić?

Fali zaczął po omacku badać ściany. Nagle pomieszczenie pojaśniało oślepiającym światłem, powiało chłodem, zgniatało kości. Nie mogli pojąć, co się stało? Tylko niemowlęta w koszyku się głośno zaśmiały. Ściany pustej sali pokryte były lustrami. Poruszały się powoli, w lewo, potem w prawo. Na każdym z nich, oczom naszych bohaterów ukazał się owłosiony potwór. Gęba mu promieniała. Niemowlęta wyciągnęły ku niemu tłuste rączki. Wtedy Dyta nie wytrzymała:

– Odejdź przeklęty demonie! Ty tu znowu! Zostaw nas w spokoju!

Po kilku minutach potwór znikł, a lustra zaparowały. Słychać było odgłos ciężkich kroków.

– A więc? Zachciało się trzeciego użycia fajeczki, co? – Jakiś głos odbijał się od ścian jak piłeczka pingpongowa.

– Kto ty? A my, gdzie? – zapytali niemal chórem.

– Spokojnie, przyjaciele. Z pewnością mnie znacie, co najmniej z legend i nasiadówek przy piwku. Niebawem wszystko się wyjaśni. Utrzymajmy jeszcze aurę tajemnicy i podążajcie za mną.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

GregoryJ, dodano 05.12.2017 09:14

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).